

Aktorzy z T.

Now the fun is over

Where do words begin

I'm trying to find the path ahead

Any way you say it

The charade goes on (...)

/Mike Hollis, "I don't believe you",

Talk Talk, 1985/

Stół na pustej scenie, wokół kilka krzeseł, czerwona kotara w tle, za chwilę zacznie się pierwsza próba czytana „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego w prowincjonalnym teatrze. Powoli schodzą się aktorzy, znani, od lat ci sami, raz za razem przewidywalni w obsadzeniach – aktorzy z T. Tak rozpoczyna się najnowsza premiera w Teatrze im. Wilama Horzycy: „Aktorzy prowincjonalni” w reżyserii Damiana Josefa Nećia, na podstawie scenariusza Agnieszki Holland i Witolda Zatorskiego do filmu z 1978 roku o tożsamym tytule.

Wiadomo, iż żaden teatr nie jest miejscem jednoznacznym, a każda scena, reprezentując rzeczywistość, wymaga *de facto* jednocześnie bycia rzeczywistością. By zachować tę zasadę dwuznaczności, Damian Josef Neć w toruńskim Teatrze pokusił się nie tylko o poszerzenie oryginalnego wątku filmowego „Wyzwolenia”, ale także zainspirował aktorów do improwizacji i intymnych wyznań do kamery uruchamianej zamysłem ich zwierzeń. Z tej dwuwarstwowej mozaiki powstał bardzo oryginalny i mgławicowy spektakl. Jedno tylko w tej aluzji nie ulega wątpliwości: przedstawienie musiało działać się tu – w Toruniu, tak jak jego poprzednie odsłony umiejscawiane lokalnie: czy to na deskach Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu w 2008 roku, czy w przypadku „Aktorów żydowskich” Michała Buszewicza na mentalnie „prowincjonalnej” scenie Teatru Żydowskiego w 2015 w Warszawie (oba przedstawienia w reżyserii Anny Smolar).

Niewielka widownia ustawiona na Scenie na Zapleczu Teatru im. Wilama Horzycy w kształcie litery „L” pozwala bez kamer znaleźć się bardzo blisko realnej projekcji powstającej w głowach toruńskich aktorów, lubianych tutaj, na miejscu, jednak niedocenianych przez dystans dzielący ich od stołecznych scen, pomijanych przez tamtejszych krytyków, zamkniętych od lat na prowincji, duszących się w tym samym gronie przed każdym nowym scenicznym wyzwaniem, bo przecież wiedzą, ile może zależeć od reżysera z Warszawy, jak wysoko wzniosą ich pracę wielcy realizatorzy czy kreatorki... Znajdują się na prowincji, ale czy ten fakt miałby być ostatecznym wyznacznikiem ich dramaturgicznej gorącości? Wszak wśród „prowincjuszy” pojawiły się i Wałbrzych, i Legnica, coraz jaśniej świeci Rzeszów, kiedy Bydgoszcz lekko przygasła – to może rozbłyśnie teraz i Toruń?

Grają siebie, z początku bardzo autoironicznie: Julia Sobiesiak – Julkę, rozmiłowaną w geniuszu Konrada Swinarskiego, Tomasz Mycan – marzącego o roli Konrada Tomka (kryguje się, przecież niedawno zagrał Hamleta), Maciej Raniszewski zrażonego niewypałem w „Mizantropie” Maćka – chłopaka z reklamy, a te przecież kręci się w Warszawie. Przy stole siedzi też mocno milczący Łukasz Ignasiński jako Łukasz jeszcze niepewny swej pozycji w tym teatrze, obsadzany często „po warunkach”. Z czasem złączą urwanymi monologami malować obraz marnej kondycji teatru na prowincji, wielkich ambicji i małych świństw, ale czy jeszcze fascynacji magią tego miejsca? Być może ich ironia może mieć swe źródło w sprzeczności między rzeczywistym urzeczeniem pracą tutaj a rozgoryczeniem płynącym z faktu, że nie spełnia ona pokładanych w niej oczekiwań. Szybko jednak znajdują się na swoich miejscach, kiedy wreszcie pojawi się ten, na którego tak czekali!

Wielki reżyser! Nieprzystępny: dba o rysunek płynnie wykańczanego SWOJEGO gestu, o brzmienie i melodię SWOJEJ frazy, o harmonię ruchów i linię SWOJEJ sylwetki. Nie aktorów. Ich traktuje z góry, najbardziej nieprzenikniony z tego grona, dwuznaczny i zimny, zdystansowany do bólu. W tej roli występujący w Toruniu gościnnie Maciej Miszczak kwestie swego bohatera prowadzi lekko, nieco egzaltowanie, a kiedy chce żartobliwie i zwodzi przy tym widzów swym sardonicznym kunsztem. Po raz kolejny pomysł angażowania przez dyrektora artystycznego Horzycy, Pawła Pasztę, aktorów z zewnątrz przewietrza zespół i nadaje mu nową dynamikę. Bowiem burza mózgów przy stole, w której każdy jest demiurkiem, może nieco nużyć. Tymczasem reżyser Maciej przywiózł ze sobą spełnienie marzeń prowincjonalnego zespołu o wielkim repertuarze i zaraz rozdzielili role. Oczywiście nie tak, jak to sobie aktorzy wyobrażali, a już zupełnie nie planował tego główny bohater „Aktorów prowincjonalnych” – Krzysztof (Paweł Tchórzelski) i niespecjalnie zaskoczona tym faktem jego żona, Anka (Małgorzata Abramowicz).

W tej inscenizacji są parą aktorów już 20 lat po ślubie, zdecydowanie starsi niż filmowi bohaterowie Agnieszki Holland (Halina Łabonarska i Tadeusz Huk). Fragmenty ich życia obserwujemy w projekcji (Adrien Cognac) wyświetlanej na ścianie, za którą scenograf „Maciej Czuchryta, umieścił ich maleńkie mieszkanie. To jeszcze bardziej zespała teatr z kinem i nadaje spektaklowi ułamek ekranowej magii, tym bardziej, że Krzysztof i Anka mówią kwestiami z filmu: ona płacze po śmiertelnym skoku kotka z okna, on zaś szarpie się z myślami, jak rozgryźć Konrada. Reżyser mu w tym nie pomoże, żona („z teatryku fiku miku na patyku”) także, gdyż jest rozgoryczona życiem w stopniu zdecydowanie większym niż Krzysztof. Małgorzata Abramowicz swą kreacją w tym spektaklu głośno jednak wszystkim i wszystko! Z czystym sumieniem można nazwać majstersztykiem scenę tuż przed antraktem, w której rozmowa filmowej Anki z jej przyjaciółką z lat szkolnych Krystyną, Neć zastąpił wewnętrznym dialogiem Anki straconej z „Anną” rozpaloną sukcesami, seksem z młodszym kochankiem i świetnymi zarobkami.

W reżyserii Damiana Josefa Necia dbałość o teatralność szczegółu idzie w parze z precyzyjnie opracowanymi ingerencjami, które wyraźnie zakłócają automatyzm odbioru spektaklu i zmuszają widzów do koncepcyjnej perspektywy. To jest przecież jednym z podstawowych założeń „Wyzwolenia”, do którego próby oglądamy. Neć rezygnuje z dyskusji z Maskami i po przerwie zaprasza widzów na tak modny w ostatnich latach teatralny mikś postmoderny, rozpoczynający się dyskotekowymi urodzinami Tomka (muzyka Agnieszka

Szczepaniak). Uderza również w modny ton publicystyki historycznej, przywołując gołenie głowy przez oddział AK na scenie Witoldowi Zdzitowieckiemu, aktorowi-kolaborantowi w czasie okupacji hitlerowskiej (to wyraźne ostrzeżenie przed robieniem kariery za wszelką cenę!) czy prezentuje zapasy siłaczy na tle filmów propagandowych PRL-u i III Rzeszy, wreszcie, myślą swego scenicznego reżysera, każe aktorom przywdziać anachroniczne kostiumy. Wiele w tym działaniu humoru i delikatnego pastiszu, dużo ironicznych cudzysłowów, gestów, tonów i pów, które miałyby wyzwolić zespół z marazmu i kilka wzniosłych scen (Pieta Tomasza i Julii). Nawet dym, jak romantyczna mgła pięknie snuje się po podłodze, jednak ten sprawdzian „wielkiej sztuki”, która mogłaby aktorom służyć lub przeszkadzać, zdawany jest przez nich jakby we śnie. Czy znaczą tylko tyle, ile pożyteczne owady w filmie przyrodniczym czytany intonacją Krystyny Czubówny przez Agnieszkę Wawrzekiewicz? Czy ich „wyzwolenie” gnieździ się tylko w głowie reżysera, czy może jednak w ich duszach? Konrad Pawła Tchórzelskiego w finale zdemaskuje ich „czary” współczesnej sztuki, pokazując, gdzie mogłoby zacząć się wyzwolenie z jednostkowych obsesji, niemocy i błędów w myśleniu, jednak sam z sobą wygrać już nie potrafi. A reżyser – kim naprawdę jest reżyser? „Teraz zabawa się skończyła...” (patrz: cytaty we wstępie tekstu)

W „Aktorach prowincjonalnych” Damiana Josefa Necia, wszystko, poza własnym cierpieniem, to sceniczna tektura, ale jakże intymnie pokarbowana! W łamigłówce dwuznaczności w prążki reżyser „pakuje” w nią przenikanie i przeistaczanie, czyli fenomen aktorstwa. Warto zdecydowanie obejrzeć ten spektakl będący projekcją bezsilnego, ale niezwykle pięknego plastycznie poszukiwania klucza do współczesnej realizacji fragmentów „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego, jaką u progu wiosny 2019 roku (Jego roku!) proponuje nam Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu. I pamiętajmy:

„Wyzwolin ten doczeka się dnia, kto własną wolą wyzwolony” / Stanisław Wyspiański/

Aram Stern

Menażeria

05.03.2019